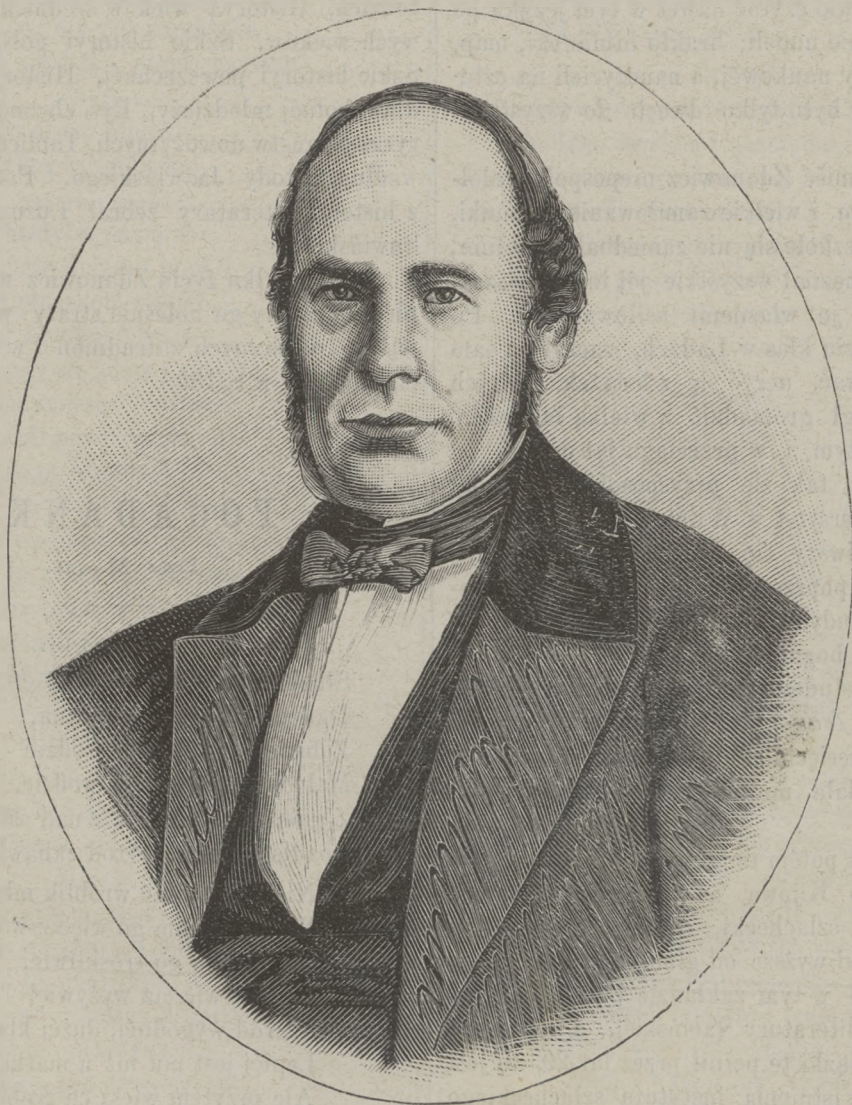
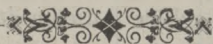


WIECZORY RODZINNE,

CZASOPISMO ILLUSTROWANE TYGODNIOWE

[25]

DLA DZIECI.



Aleksander Zdanowicz

ALEKSANDER ZDANOWICZ.

Każdy z czytelników naszych zna zapewne, czy to historią polską, czy powszechną, napisaną przez Zdanowicza, bo prace te bardzo są rozpowszechnione, co najlepiej świadczy o ich wartości. Podając wam dziś wizerunek zasłużonego tego praco-

wnika, zebraliśmy niektóre szczegóły z jego życia, które upłynęło cicho, bez żadnego rozgłosu, wśród uciążliwej, skromnej, lecz bardzo pożytecznej pracy.

Aleksander Zdanowicz urodził się w r. 1808 w gubernii mińskiej w powiecie ihumeńskim. Rodzice jego nie byli bogaci, nie mogli też dać syno-

wi w dzieciństwie starannego wychowania, dopiero w szkołach publicznych, gdzie go oddano w r. 1819, zaczął się uczyć i zasmakował w nauce. A jednak szkoła ta, we wsi Ladach, o kilka mil od powiatowego miasteczka Ihumenia, nie była wcale wzorową, ani ze względu nauczycieli, ani z wykładanych nauk.

Sam Zdanowicz w notatkach swoich biograficznych opowiada, że nie mógł się tam wiele nauczyć, pomimo najszezerzszych chęci, bo historii i geografii uczono bardzo niedokładnie; z języków obcych wykładany był tylko francuzki i to tak niedbale, że uczniowie czytać nawet w tym języku po większej części nie umieli; brakło biblioteki, map, wszelkiej pomocy naukowej, a nauczycieli na cztery wyższe klasy było tylko dwóch do wszystkich przedmiotów.

Musiał też mieć Zdanowicz niepospolite zdolności, a przytém i wielkie zamiłowanie do nauki, skoro w takiej szkole się nie zaniedbał zupełnie, ale przeciwnie, poznał wszystkie jej braki i starał się wynagrodzić je własnymi usiłowaniami. Po ukończeniu sześciu klas w Ladach, zaczął on sam nad sobą pracować, uczyć się z książek, których zapewne nie mógł gromadzić z wielką łatwością, nie będąc bogatym i w przeciągu lat dwóch, od r. 1825 do 1827, tak się przysposobił, że mógł wstąpić na uniwersytet w Wilnie.

Przyzwyczajwszy się do pracy samodzielnej i tam nawet nie poprzestawał na wykładach profesorów, ale studyował pilnie dzieła naukowe, znajdujące się w bogatej bibliotece uniwersyteckiej. Będąc jeszcze studentem wydał pierwszą swoją pracę, *Wypisy francuzkie* w r. 1830, a skromna zapłata kilkunastu rubli, którą otrzymał za to od księgarza, dała mu możność ukończenia uniwersytetu.

W kilka lat potem uniwersytet wileński przeniesiony był do Kijowa, a w Wilnie natomiast powstał instytut szlachecki, rodzaj liceum, gdzie wykładano nauki wyższe od gimnazyalnych. Zdanowicz otrzymał w tym zakładzie posadę nauczyciela języka i literatury łacińskiej, a następnie historii i obowiązki te pełnił przez lat 29, to jest przez cały czas istnienia instytutu szlacheckiego w Wilnie. Oprócz tego wykładał historią na kilku pensjach żeńskich i zjednał sobie opinią zdolnego i sumiennego nauczyciela. Dawał także lekcye prywatne, zwłaszcza panienkom, wychowującym się w domu i w tym zawodzie nauczyciela prywatnego największe położył zasługi.

Zdanowicz poświęcił się z wielką gorliwością wychowaniu kobiet i wykładał panienkom cały kurs nauk, nazywał to: „Przeglądem systematycznym całego obszaru wiedzy ludzkiej“. Tym spo-

sobem w przeciągu lat dwudziestu kilku nauczycielskiej swój działalności wykształcił wiele kobiet, zwłaszcza nauczycielek; a miał on dar szczególny wzbudzania w uczennicach zamiłowania do pracy, do czytania książek poważniejszych, wykładał tak jasno i przystępnie każdy przedmiot, tak umiał ożywić naukę, że czynił ją przyjemną i pożądaną.

Dzieła Zdanowicza, drukiem ogłoszone, są po większej części streszczeniem jego wykładów, które spisywał na ćwiartkach papieru i dawał uczniom do odczytania. Tak powstały między innymi: *Historja powszechna*, krótko zebrana w 3-ch tomach, *Historja wieków średnich*, *Historja nowych wieków*, *Szkic historii polskiej dla dzieci*, *Szkic historii powszechnej*, *Historja powszechna dla szkolnej młodzieży*, *Rys chronologiczno-historyczny państw nowożytnych*, *Tablica etnograficzna według metody Jaźwińskiego*. Pozostałe notatki z historii literatury zebrał i uzupełnił Leonard Sowiński.

Przy schyłku życia Zdanowicz miał wiele cierpieć, dotknęły go boleśnie straty w rodzinie, usunął się od licznych zatrudnień i w samotności życia dokonał w r. 1868.

POGADANKA.

Przez M. . . a.

MŁODSZA SIOSTRA.

Słuchaj, siostrko ukochana!
Dziś do szkoły idąc z rana,
Zobaczyłam jak w ogrodzie
Mały wróbel tonął w wodzie,
Z gniazda, z drzewa, z nad sadzawki,
Spadłszy pewno wśród zabawki.

Nie mógł latać wróbel młody,
Wyciągnęłam go więc z wody,
Osuszyłam go troskliwie,
Będę żywić, aż wyżywie!
Wśród wygodnej, dużej klatki,
Lepiej jest mu niż u matki.
Ale przytém wiesz co zrobisz?
Do nauki go sposobię!

STARSZA SIOSTRA.

Wróbla?!

MŁODSZA.

Tak! już znałam ptaszki,
Które zamiast wśród igraszki
Nieustannie pędzić życie,
Żyją bardzo pracowicie.
Kiedy pić chcą, muszą wprzódy

Nieskończone ponieść trudy,
 By w windować ze dna klatki
 Na piąterko swojej chatki
 Małe wiadro na niteczce.
 Które jest tam w studzieneczce
 I za chwilę znów tam spada;
 Bo dla ptaszka trud nie lada
 Pić i pijąc, nóżką małą
 Maszyneryą trzymać całą.
 Z pożywieniem takąż sprawa,
 Patrzeć na to jest zabawa!
 Gdy maleństwo to co chwila
 W ciężkiej pracy się wysila,
 Ciągnąc kosz jak pół naparstka
 W którym ziarenek... ptasia garstka!

STARSZA.

Po cóż tego uczyć ptaszka?
 Jemu przykra ta igraszka!

MŁODSZA (*poręwczo*).

Tak! doprawdy! a *ja* po co
 Ślęczyć muszę dniem i nocą?
 Litościwaś ptaszkom siostrze,
 Ale umiesz krzyknąć ostro
 Na mnie, gdy się zdarzy czasem
 Rzymianina zmieszać z Sasem,
 Nie z swawoli przecież pustej,
 Lecz że oba są Augusty!

Ptak i *ja*, stworzenia Boże,
 Więc i on pracować może,
 Kiedy *ja* pracować muszę,
 Choćbym także w leśne głąsze
 Uciec chciała od nauki;
 Niech się wróbel uczy sztuki!

STARSZA.

Jakto? czyliż ty prawdziwie
 Z ptaszkiem który wzrósł na niwie,
 Porównywać byś się chciała?
 W błędzie jesteś siostrze mała!

MŁODSZA.

O! niechwytajże za słowa,
 Nie tak brzmiała moja mowa,
 Pod innemi *ja* względami
 Nie porównam ptaszka z nami;
 Ale czemuż ma ptaszyna
 Nie pracować, jak dziewczyna,
 Oczywiście w swym zakresie?
 Kiedy obie my nie w lesie
 Urodzone, ale w kraju,
 Gdzie nauka jest w zwyczaju,
 Choć niebyła pewno w raju!

STARSZA.

Zwolna, siostrze! bierz rzecz ściślej,
 Nie zamącaj własnej myśli,
 Nie odbiegaj od przedmiotu,
 A dowiodę bez kłopotu,

Że bez celu są to sztuki
 Zmuszać ptaszków do nauki,
 Zaś z człowiekiem inna sprawa!

MŁODSZA (*żwawo*).

Aha! może mnie zabawa
 Uczyć się tak dniem i nocą?

STARSZA.

Uczysz się, a wiesz po co?

MŁODSZA.

Po co? dziwne zapytanie!
 Lecz odpowiedź łatwa na nie:
 Każdy, łatwo to zrozumieć,
 Uczy się, ażeby *umieć*!

STARSZA.

Otóż bładzisz w tym pojęciu!
 Pudłom, mysiom i ptaszęciu,
 Po to daje się nauki,
 By umieli swoje sztuki,
 Ale człowiek sam nie po to
 Trawi w pracy młodość złotą!

MŁODSZA.

A więc po co?

STARSZA.

Po to, żeby,
 Nieba syn, proch ziemskiej gleby,
 Zanim śmierć go schwyci głucha,
 Rozpotężnił w sobie ducha!
 Bo pamiętaj zawsze o tym,
 Że zroszona czoła potem
 Niwa wiedzy z mędrców pracy,
 Kiedykolwiek byli jacy,
 W tym jedynym wśród trosk wielu
 Uprawianą była celu!

Więc ptaszęce rzuć nauki,
 Ptaszkom na nic takie sztuki;
 Ale sama ucz się szczerze!
 A gdy czasem chęć cię bierze,
 Z mody, lub dla interesu,
 Do tych nauk twych zakresu,
 Dodać jeszcze jaką nową,
 Siostrze! wspomnij moje słowo:
 Pomyśl wprzód, czy ta nauka
 Ducha wzmacnia? prawdy szuka?

Jeśli rozum i sumienie,
 Dadzą temu zaprzeczenie,
 Porzuć siostrze, zamysł nowy!
 Szkoda czasu, szkoda głowy,
 Aby człowiek, tak jak ptaszki;
 Miał się uczyć dla igraszki!

O! pamiętaj siostrze droga,
 Bo po czasie próżna żalność;
 Że ty jesteś iskrą Boga,
 A twym celem: *doskonałość*!

HONOROWY STÓŁ KRZYŻACKI.

OPOWIADANIE Z DAWNYCH CZASÓW.

przez M. . a.

(Dalszy ciąg).

Tak sobie wyjaśniwszy ciemności własnych rozmyśłów i położenie własne, Konrad von Richatsdorff aż raźniej głowę podniósł i swobodniej w około spojrzął, poznawszy wedle swego przekonania, grożące mu niebezpieczeństwo. Tak, prawdą jest, że śmiało w oczy niebezpieczeństwu zająrzeć, znaczy to już je przez pół zwyciężyć. Postanowił mimo podejrzeń co do Hansa i Waltera, nie przedsiębrać nic jeszcze względem nich stanowczego, baczną tylko na nich zwracając uwagę, a to tak dla unikania rozdwojeń w małym swym poczcie, jak i dla tego by nie pokazać Łokciowi że przeniknął jego zamiary, coby go tylko do tém prędszego działania skłonić mogło.

Przy dosyć już długim dniu wiosennym, wydostało się przecież z gęstwiny o zapadającym zmroku, i roztasowano na nocleg krótki, na wzgórzu malém, na otwartém miejscu rozpalono znów ogień, rozbito większy namiot, w którym pomieścił się razem powóz i rycerz dowódzca. Ten ostatni, zaledwo wszakże pomieściwszy powóz i zabezpieczywszy go, wyszedł z namiotu i bacznie jął osobiście doglądać wszelkich do noclegu przygotowań, na jakich bezpieczeństwo zależało. Dopiero z najskrupulatniejszą drobiazgowością zadość uczyniwszy temu obowiązкови, wrócił do namiotu swego i jak co wieczór szczerlnie zapuścił jego opony, przykazaawszy tuż na około namiotu stojącej straży, aby nikogo doń nie puszczala. Po wieczery, Walter znalazł się około Hansa na garści mchu, trochę opodal od ogniska i od towarzyszy.

— I cóż panie— rzekł cichym głosem— dziś w południe zdawało się, jakobyście mieli zamiar zaszczyścić mię waszém zaufaniem, a później aż dotąd unikaliście mię i unikacie: nie mam wcale chęci wkradać się w ufność waszą, ale przykro mi i smutno bardzo, że mi ją cofacie. Niechże i tak będzie, boć niczém sobie na względy wasze zasłużyć nie miałem sposobności. Przrzeczcie mi wszelako jedną rzecz. Oto, że gdybyście zapotrzebowali usług moich, to ich i tak zażądacie. Ja o nic nie będę się dopytywał, tylko uczynię co każecie, bo głos duszy mojej mi powiada, że tajne zamiary wasze święte są, a takim zamiarom pomagać jest przecież obowiązkiem prawdziwego chrześcijanina.

Walter mówił, a Hans coraz szerzej oczy na tę jego mowę rozkwierał, aż w końcu parsknął śmiechem i rzekł:

— Mój Walterze, powiedz mi też, co ci się uroiło od południa, że teraz z takiém uszanowaniem do mnie przemawiasz? Przecież ja jestem ten sam Hans, który już od roku z jednej misy z tobą jada w służbie Zakonu, a o ile wiem, ani Wielkim Mistrzem mię od południa nie obrano, ani komturostwo, ani żadna inna pomniejsza godność na kark mi nie spadła niespodzianie; z jakiegż więc racji to wielkie uszanowanie jest twoje? Bo jeżeli cię unikam od południa, co prawdą jest, to czyliż jeszcze takim dzieciakiem jesteś, że nic po za koniec własnego nosa nie widzisz? Czy nie widzisz, że ten krzykacz Richatsdorff coś z ukosa na nas spogląda i podsłuchuje gdy do siebie mówimy? Nie wiem, co on ma wtém, ale widzę, że ma coś, a to dosyć jest ażebym miał się na ostrożności. Ho ho, nie mnie to znowu uda się komu w kaszy zjeść tak, żebym ani pisać nie potrafił.

— Chwała Bogu! kiedy tak! — szepnął Walter radośnie, lecz ostrożnie. — A jeżeli tak, to dokończ tego co w południe mówić zacząłeś, bo Richatsdorff teraz nas przecież podsłuchać nie może.

— A nie, bo on teraz jak co wieczór jest koło powozu zajęty, — mruknął Hans kiwając głową i wdychając. Młody Walter przysunął mu się jeszcze bliżej do ucha:

— Czyliż w istocie pan ojciec wasz tam uwięziony jedzie? — spytał pocichu.

— Co? czy znowu zaczynasz tak samo jak wprzód? — rzekł Hans zdziwiony. — Coś to się tobie chyba uroiło takiego, że ja tego nie rozumiem; powiedzże co to takiego?

— Ale ho — rzekł Walter z nieśmiałością — bo może wy tylko przez ostrożność tak postępujecie, a mnie się zdaje koniecznie, że wy nie tém jesteście, za co się podajecie. Najbliżej was jestem w rzedzie w czasie podróży, to i słyszę jak o tego Łokcia wypytujecie się Wolfganga tego grubego, i tak mi się koniecznie uwidziało, że to ten Łokieć w tym powozie uwięziony jest, a wy go uwolnić byście radzi... a przecież sami w południe powiedzieliście, że to wasz ojciec jest... więc pomagać wam jam gotów!

Ostatnie wyrazy wymówił Walter z wielką gorącością.

— To więc ja niby na polskiego księcia w twojem mniemaniu wyszedłem? — ze śmiechem Hans odrzecz. — Ej, niech ci się nie marzą brednie takie; co powiedziałem, to w inném wcale mówiłem rozumieniu. Ale że kto wie, czy nie Łokciato my schwytanego wieziemy w podarunku litewskiemu księciu, to bardzo może być, bo dosyć on się i naszemu zakonowi, i Litwinom dał we znaki, a przyrzekł więcęć jeszcze. Tedy by to był jak raz miły

a korzystny podarek i dla darowującego i dla obdarowanego. Ale ja o tém wszystkiém tyle wiem co i ty miły Walterze. Tylko wiele się domyślam i z tego, co przy uczcie ostatniéj u Wielkiego Mistrza o Łokciu mówiono, i z tych pisań wielkich, jakie są od W. Mistrza do książąt litewskich temu Richartsdorffowi dane, jakby o rzecz największój wagi chodziło i z tego, że o Łokciu teraz tak cicho jest. Ale com wedle tego o ojcu wspomniał, to się znaczy tylko że jeżeli tak jest z tém jak się oba domyślamy, to gotów bym uczynić dla tego wiezionego w tym tam powozie tyle, ile dla rodzzonego ojca powinienem. Bom tak powinien. A zaś syna, to widzi mi się, że Łokieć chyba wcale nie ma, albo małe może ma dzieci. Więc już uwierz mi, że ja nie żaden polski książę, tylko stary twój znajomy Hans i tyle.

— No, już teraz to wierzę; to lepiej jeszcze! — rzekł Walter i jakby na dowód że wierzy, uderzył Hansa dłonią w kark z całych sił serdecznie po przyjacielsku. — Jeżeli więc chcesz — mówił dalej — to ci z całego serca pomogę wyzwolić naszego więźnia, chociaż, jako brat służebny, powinienem wiernie zakonowi naszemu służyć, bo kocham cię bardzo i radbym ci pomógł, a znów przyznam ci się, że wcale to nie zdaje mi się chrześcijańska rzecz, człowieka chrześcijanina w podarku, jak psa lub sokoła, poganom, w żelaznej klatce posyłać! — Ostatnie wyrazy Walter bardzo pocięchu wymówił i niepewnym głosem jakby pytając.

— Hm — z namysłem rzekł Hans — już ci i mnie się nie jedno nie zdaje w służbie naszej, ale wszakże to mądrzejsi od nas tam rządzą, to muszą wiedzieć przecież najlepiej, jako zakonnicy, co jest chrześcijańska rzecz, a co nie... a znów ten Łokieć, to mi niby ojciec..

— Dla czego? — ciekawie Walter zapytał. Hans się wygodniéj na mchu ułożył i mówił zwolna, jakby zbierając myśli.

— Widzisz ja to jestem niby Niemiec, a niby Polak, bo się wychowałem w Radziejowie, w Polsce. Zkąd się tam wziąłem, nie wiem. Rodziców nie pamiętam. Ludzie, żywiąc mię z litości wołali na mnie: Hans! pójdź tu na! A wołali tak i Polacy i Niemcy. Troszeczkę jak przez sen, pamiętam z lat dziecinnych jakieś wielkie miasto, ale to nie Malborg. Podobno czy Tatarzy, czy inni jacyś niepocziwi, porwać musieli mię kiedyś, tak jak się to często z dziećmi w zaburzeniach zdarza, a potem jakoś się wśród ludzi zaplątałem sierotą i tak pozbawiono mię rodziny. Wiem tylko tyle, że zwykłem być w dziecinnych latach uszy nadstawiać na owo wołanie: Hans! pójdź tu! na! i biegłem gdzie mię wołano, aby mię pożywić. Otóż raz kiedy mię tak zawołała pani Marta i ja bie-

głem, nagle z boku uliczki wybiegło kilku jeźdźców, przewrócili mię i przeleciawszy jak wichura nademną, wpadli w otwartą bramę domu tego samego, z którego mnie wołano. Konie, pocziwie stworzenia, tak umiejętnie przebiegły przezemnie, jak to one umieją, że mię tylko przewróciły, a w chwili, gdy upadłem, usłyszałem krzyk niewieści tuż nademną, niewiasta jakaś, siedząca na jeźdźcu z owych koni, krzyknęła z przerażeniem:

— Dziecko! dziecko upadło!.. — Gdy się podniosłem, głos wylękł mi w uszach. Poszedłem do tego domu gdzie mię wołano, ale brama i drzwi były zamknięte. Zacząłem pukać, bo jeść mi się chciało, a w tym domu nie pierwszy raz miałem dostać pożywienia. Ktoś wyjrzał okienkiem ze strychu i natychmiast ukazała się w tém okienku pani Marta, spojrzała w lewo i w prawo w pustą uliczkę i powiedziała:

— Właż chyżo tu do okienka, po balaskach a daj rękę!

Nie potrzeba mi było tego dwa razy mówić, widziałem że pani Marcie było czegoś pilno, w jednej chwili więc, chwyciwszy się tu balaska, tam zawiasy, wdrapałem się ku okienku i pani Marta wciągnęła mię do izby na strychu. Zamknęła i zaparała okienko, tak małe że ledwo się w nie zmieściłem i zaprowadziła mię na dół, gdzie na mnie czekało jadło. Jedząc spostrzegłem że brama od niedużego tego obejścia zaparta była, jakby przed Tatarami i drzwi i okna patrzone jak się dało najlepiej. Kilku zbrojnych ludzi w pogotowiu jakby do obrony, ostróżnie spoglądali przez te okna. Jakis niepokój panował w całym małym domostwie; w drugiej izbie niewiasta jakaś wysmukła i odmiennie od znanych mi niewiast w Radziejowie, ubrana, stała na środku z rękoma opuszczonemi, z oczyma wpatrzonemi prosto przed siebie, sztywna, jakby z kamienia uczyniona. Zapatrzyłem się na nią tak, że o jedzeniu zapomniałem. Nie mogłem oczu odwrócić, a nie wiedziałem czemu. Dziś wiem, bo później, w Malborgu zwłaszcza, nie jedną widziałem taką piękną i wspaniałą panią, choć na prawdę to mi się nigdy już żadna tak bardzo jak tamta nie podobała. W domu tamtym wówczas widocznie bano się jakiegóż pogoni i napadu na dom. Przyszli mi znowu na myśl Tatarzy. Ale nie przed Tatarami to schronił do swego domu tę panią wtedy mąż pani Marty, lecz przed kim? nie wiem do dzisiaj, bo to się tam w tej Polsce tak burzy i kotłuje, że nie sposób nawet i zmiarkować co się dzieje i kto kogo wygania z dzielnicy jego. Później dowiedziałem się, że ta pani była to księżna kujawska Jadwiga, żona tego Łokcia właśnie, który kto wie, czyli nie dyszy tam w tej chwili w klatce pod namiotem. Pod nieo-

becność Łokcia napadnięto wówczas taką chmurą na zamek jego, że księżna musiała z własnego domu po dzielnej obronie uciekać. Jużci jako niewiasta nie miała wstydu w ucieczce, a lepiej że uciekła, niżby wpadła w ręce wrogów, którzyby się nad nią pastwili. Ona to krzyknęła gdy upadłem potrącony przez konie. Poznałem ją też odrazu po głosie, gdy wtedy przystąpiła do mnie, pytając, czym nie zrarity? Owego dnia nie wypuszczono mię wcale z domu pani Marty, bo się obawiano otwierać, a może się obawiano też abym gdzie wnieście nie wygadał przed kim niepotrzebnie tego co widziałem, co się w domu dzieje. Nazajutrz dopiero uspokojono się. Księżna kujawska nie miała podobno ani gdzie się schronić, ani czem żyć, pozostała więc w domu pani Marty. A może i dotąd się tam znajduje, bo nie dawne to czasy przecież. Zaczyna to pani jest okrutnie, to też prędko choć cały prawie Radziejów dowiedział się o niej, przecież zmówiono się na tajemnicę dla jej bezpieczeństwa. I mnie pani Marta powiedziała:

— Słuchaj, Hans! znamy cię za uczciwego, bo nie lubisz darmo chleba jeść i starasz się dobrze robić, co ci robić każą, zatem, aby kto niedobry nie pociągnął cię za język, a tyś biedy nie narobił, nie wiedząc co czynisz, powiadam tobie wyraźnie, że ta pani oto, jest to nasza księżna, którą my tu i na okolicie dalekie kochali i znali dobrze, jeszcze panienką, księcia Bolesława kaliskiego córką; ona się teraz wśród nas ukrywać musi przed chciwymi ludźmi, trzymajże ty język za zębami a milcz o niej! bo jakby się nieprzyjaciele jej o niej dowiedzieli, toby pochwycili ją tak, jak może chwycili już księcia Władysława, męża jej, aby życia ich pozbawić, a dzielnice ich książęce na zawsze sobie zagrabić. Tedy milcz! jeśli Boga w sercu masz.

Więc milczałem; żyła księżna lata całe między mieszczaństwem, a gdzie kto zasłał, to zaraz sama ona szła z lekami, które robiła z ziół, a gdzie się co złego stało, że nie umiano sobie poradzić, tam ona szła z radą, ale po niejakiem czasie gdy przywykli ludzie do jej pomocy, to szli do niej, albo i przysyłali po nią, jak po znachora jakiego mądrego. Mądra to prawdziwie jest ta pani, gdyż i mądrych miała rodziców i wielce staranne a pańskie odebrała wychowanie. A już że w leczeniu nie lada kto jej dorówna, to na sobie miałem w tém doświadczenie, gdy przy budowaniu domostwa belka mię przytłukła. Jeślim dziś zdrów a prosty, to jużci z łaski Boskiej, ale i z księżnej kujawskiej łaski. Dziękuję jej ja więc bywało, a ona na to rzecze:

— Panu Bogu dziękuj, bez którego nic nie jest, a jeśli ci się zda, żeś i mnie jaką wdzięczność

winien, to się odwdzięcz po synowsku za to Władysławowi księciu, mężowi memu, jeśli go kiedy przypadkiem spotkasz na szerokim świecie, bo prawdziwie ojcem on byłby poddanych swych, gdyby jeno przemocy radę dał. — Takie słowa mówiła księżna zazwyczaj każdemu, kto jej dziękował za jej dobrodziejstwa i każdy pewno tak jak ja przyrzekł sobie po synowsku się księciu Łokciowi wywdzięczyć, gdyby kiedy w życiu mógł to uczynić. Więc, cóż dziwnego, że ja ci powiedziałem, iż ten tam więziony w owym powozie, to niby ojciec jest mój?... — tak zakończył przydługą gawędę swą Hans młody.

Walterowi gawęda ta nie zdawała się długą jednakże, słuchał on bardzo uważnie, nie mając zresztą nic lepszego do czynienia. Towarzysze już spali snem głębokim strudzonych podróży. Namiot wodza na wzgórku, ciemny, zamknięty, milczący, zdawał się także w śnie pograżonym. Straże tylko gęsto na okół niego rozstawione, równie jak i inne rozstawione naokoło małego taboru, poruszały się od czasu do czasu nawołując wzajem poważnie, miarowym głosem. Księżyc większą połowę kręgu swego, niby srebrną krzywą szablą tatarską, oświecał jasno obozowisko i okolicę.

— Nic dziwnego wcale; — powiedział Walter na ostatnie Hansa wyrazy — powinienes się odwdzięczyć Łokciowi, jak tylko będziesz mógł. — Gdy Walter wyrazy te wymawiał, Hans właśnie obejrzał się żywo, tknięty nagle tém nieokreślonym uczuciem, znanem ludziom przywykłym do czuwania w niebezpieczeństwach, a które sprawia, że czują oni nieledwie zwierzęcym jakimś sposobem obecność ukrytego świadka: i wtejtę chwili, gdy Hans się obejrzał, spostrzegł poruszającą się wysoką postać człowieka, który widząc się odkrytym, przeszedł już jawnie, a cicho i powoli koło dwóch knechtów. Był to rycerz dowódzca, który wyszedłszy niepostrzeżony przez nich z namiotu, obchodził swoje małe obozowisko, doświadczać czujności straży i badając porządek. Czynił on to co noc w ciągu podróży, ale na ten raz dziwnie niespodzianie zjawił się w pobliżu dwóch rozmawiających przyjaciół. To też Hans ścisnął tylko w pierwszej chwili mocno rękę Waltera, a gdy Richartsdorff oddalił się, Hans rzekł:

— Podśluchiwał! pilnuje nas! podejrzewa! kto wie czy gruby Wolfgang nie wygadał się z tém, że go o zawartość powozu i o Łokcia wypytywałem! A może umyślnie wszystko powiedział Richartsdorffowi, bo stary to wyjadacz klasztorny. Źle zrobiłem, że go wypytywałem, choć nie rozgadywałem się z nim tak jak z tobą. Teraz będą się nas jeszcze bardziej wystrzegali, bo z pewno-

ścią Łokcia biednego wiozą, jak się tego obawiałem. Inaczej, aniby się tak bardzo lękali, aniby W. Mistrz tak wiele się rozwodził nad drogocnością podarku tego, jaki litewskim książętom posyła i nie powierzałby go pieczy tak wielce sławnego rycerza.

Podczas gdy dwaj przyjaciele tak ze sobą szepotali, Richartsdorff oddalwszy się, wrócił ku nim skrycie... potem przeszedł całe obozowisko i stanawszy na ostatnim jego krańcu, wlaź na spory pień po ogromnym dębie od piorunu strzaskanym i obalonym, aby z tej wyżyny lepiej jeszcze okiem swój obóz objąć. Istotnie miał go też przed sobą jak na dłoni, na jasno księżycem oświetlonym płaskowzgórzu i nie tylko jego, ale i całe to płaskowzgórze wraz z otaczającą je okolicą i zarosłami, z których podróźni wyszli przed wieczorem. I otóż nagle zdziwił się rycerz, ale zdziwił nie czemu, tylko samemu sobie, a mianowicie temu, jakim sposobem on, rycerz sławny jak mało sławnych pod owe czasy było na świecie, sławny nie tylko z rycerskiej odwagi i waleczności, lecz także z rozumu i obrotności w przygodach, jakim on sposobem mógł popełnić tak niedarowany błąd, jaki popełnił, roztasowując swój obóz tak blisko lasu, jak to dopiero teraz spostrzegał! A był to właśnie ten sam las, z którego on przecież, jak najspieszniej wydostać się pragnął po uniknięciu owej zasadzki na łące. Rycerz oczy przecierał sądząc że źle widzi i pięści ścisnął z gniewu, gdy się przekonał że dobrze ujrzał, jako zarosła są rzeczywiście daleko bliższe, niż mu się za dnia zdawało.

— Nie! — rzekł sam do siebie — taki mądry, rycerz jak ja jestem, który tyle strasznych przygód po całym świecie doświadczył i obronną ręką z nich wyszedł, nie mógł popełnić takiego głupstwa, przez które naraziłby bezpieczeństwo drogocznego skarbu, powierzonego jego rycerskiemu honorowi; taka bliskość tych zarosli w których kryje się Łokieć ze swą bandą, nie mogła ująć doświadczonego mego oka, wtém musi być coś! — domawiając ostatniego wyrazu, rycerz pomimo całego swego bohaterstwa, nagle zadrżał od stóp do głów ze strachu, bo przyszło mu na myśl, że t^ęm *czemś*, o którym sam do siebie mówił, musiały być *czary*!.. a czary, to straszna była rzecz w owych bohaterskich, lecz zabobonnych czasach. Dla tego zaś Richartsdorff o czarach pomyślał, że bystre jego oczy dostrzegły iż zarosła, które jak to z wszelką pewnością wiedział, z wieczora zarysowywały się przed obozowiskiem pod linią prawie prostą, teraz w jedn^ęm miejscu mocno z ni^ęj się wysunęły, tworząc jakby sterczący klin, lub rodzaj lesistego *przyłądka*, który daleko naprzód na płaskowzgórze wystąpił. Las złamał linię swą i wyraźnie

ku obozowi się posunął! tego rycerz był teraz pewnym i dla tego o czarach pomyślał. Już, już prawie drętwiał z przerażenia, co mu ponieważ rzecz szła o czary nic a nic jako jednemu z najwaleczniejszych rycerzy nie ubliżało, gdy wtém, wprawny wzrok jego, przy jasnem świetle księżyca dostrzegł po za najbliższ^ęm z młodych drzew owego ruchomego lesistego klina czy przylądka, postać żywą, do dużego zwierzęcia, na dwóch łapach stojącego, podobną... W mgnieniu oka, rycerz przypomniał sobie urywek jakieg^oś staro-rycerskiej normandzkiej ballady:

I do boju poszedł wraz,
Cały gęsty, ciemny las,
Bo wraz z każd^ęm z jego drzew,
Szedł do walki rycerz-lew!

Krzyżacy wiedzieli komu powierzyli przewiezienie drogocznego swego daru; rycerz wart był sw^ęj sławy; odrazu zmiarkował, że to Łokieć szalała, współzawodnik jego, używa przeciw niemu podstęp^u wojennego, bardzo pospolitego u ludów pierwotnych i gęsto opiewanego w balladach. Zrozumiawszy, że to nie siła nadprzyrodzona występuje z nim do walki, drżący jak liść osinowy Niemiec, na raz jeden przestał drż^ęc i stał się na nowo słynnym z odwagi, niezwykłym rycerzem, Konradem von Richartsdorff.

Umówionym okrzykiem dał znać obozowi o grożącym niebezpieczeństwie; straż i czaty powtórzyły okrzyk, nie wiedząc nawet, że wydany był przez wodza, a nie przez jedn^ę z nich. W chwili gdy rycerz wódz z mieczem w dłoni stanął na czele gromadki zbrojnej, otaczającej powóz, część lasu, teraz już widocznie ruchoma, posunęła się chyżo i padła na najpierwszy szereg krzyżackich wojowników, otaczający jak zawsze szerszym pierścieniem główną gromadkę. Na przywalonych w części tym lasem i upłątanych w gałęzie Niemców, rzuciła się z dzikim wrzaskiem chmara niewidzialnych do ostatniej chwili nieprzyjaciół. Podstęp nie zupełnie się udał jednakże, dzięki czujności wodza. Gdyby nie jego mądrość i doświadczenie, straż możeby jeszcze bliżej dała przystąpić nieprzyjaciołom, którzy naciąwszy ogromnych gałęzi, drzewin racz^ęj i trzymając je wzniesione do góry, posuwali się tak już od paru godzin bardzo wolno, udając las, aż podstąpiwszy pod samo obozowisko, rzuciliby się na nie, gdyby nie miało się na ostróżności.

Ujrawszy jednakże i usłyszawszy ruch, i widząc się odkrytymi, napastnicy przyspieszyli stanowczą chwilę, nie myśląc tać się dłużej, aby jak najmniej czasu do przygotowań przeciwnikom zostawić. Ale ci byli już przygotowani, bo mało

potrzebowali czasu do tego. Pierwszy krzyżacki szereg wprawdzie w pierwszej chwili upłątany został w gałęzie, ale po za nim znalazł się drugi, i rozpoczęła się walka dziwna, bo Niemcy czując się napadanymi, czując razy nożów i ciosy i jakieś szarpania i kłaniania prawie, nie widzieli jednak z razu nieprzyjaciół przed sobą. Dopiero po chwili takiej walki utrudnionej cieniami nocy, zmiarkowano że nieprzyjaciół pełzał. W istocie pełzał on, podskakiwał, uderzał i padał znowu, niby na podobieństwo zwierząt i jak one kasał podobno. Wszakże, gdy umiejętnym obrotem wycofano się z owych krzewistych gałęzi, którym nie udało się zbliżyć dostatecznie do obozu, niebezpieczeństwo znikło nagle, tak nagle, że aż Richartsdorff i dwaj podwładni jego dowódcy obawiali się nowego podstępu. Niepotrzebnie wszakże. Z bronią w ręce stojąc gotowi do odparcia napaści, przepędzili wojownicy resztę nocy niedługiej spokojnie.

Wschodzące słońce oświeciło pobojowisko narzucone gałęzmi. Przeglądając je z Richartsdorffa rozkazu, znaleziono dwóch tylko poległych dziwnego rodzaju napastników: psa i dzieciaka... Pies wielce wilka przypominający, trzymał jeszcze w zaciśniętych strasznych zębach kawałek zakrwawionej zbroi, tak, jak chłopak około dwunastoletni trzymał oburącz duży zakrwawiony nóż... ten miał zęby równie zaciśnięte, jak pierwszy, a odziany był skórą wilczą. Niemieccy wojownicy osłupieli na widok tych dwóch poległych i ogarnął ich rodzaj wstydu, iż z takimi nieprzyjaciółmi przyszło im w tym dzikim kraju walczyć... widok ten tłómaczył im ów dziwny sposób bojowania, którego w nocy pojąć nie mogli. Dzieciak acz spory, nie dostawał dużym Niemcom do pasa, nie też dziwnego, że walcząc o księżycowym świetle, nie widzieli oni przeciwnika przed sobą; ci dwaj polegli nie musieli być wyjątkami w dziwnych tych nieprzyjacielskich szykach...

(D. c. n.).

RODZINA ROŚLIN MOTYLKOWATYCH.

Wszyscy czytelnicy nasi znają dobrze akacje, czy to białe, czy żółte, bo drzewa te, jakkolwiek pochodzą z innych części świata, tak są u nas rozpowszechnione, że wszędzie ich pełno. Już nieraz wspominaliśmy, że po kwiatkach jedynie i nasionach poznaje się rodzina roślinna. Weźcież najpierw kwiatek akacyi, każdy z was dostanie go z łatwością i przypatrzcie mu się uważnie, abyście wszystkie cechy jego dobrze umieli odróżnić. Kwiaty te mają postać bardzo szczególną i odrębną.

Kielich jest dzwonkowaty i tak ząbkowany, że tworzy jakby dwie wargi. Korona składa się z pięciu płatków, kształt jej przypomina lecącego motyla i z tąd nazywa się motylkowatym. Każdy z tych płatków ma osobną swoją nazwę. Górny, największy, okrywający prawie kwiat cały, nazywa się żagielkiem, dwa boczne są to skrzydełka, dwa dolne na koniec, zrosłe w jeden, tak szczelnie otulają pręciki i słupek, jak gdyby stanowiły jakiś pokrowiec, umyślnie do tego przeznaczony. Z powodu swjej postaci wygiętej, płatki te otrzymały nazwę łódki. Poobrywawszy ostrożnie wszystkie te płateczki, przekonacie się, że żagielek jest znacznie krótszy i tylko dwoma koniuszczkami, jakby uszkami, przylega koło zawiązka, ale skrzydełka i łódka opatrzone są paznogciami. Tak się nazywa wązkie przedłużenie płatka u dołu, wyższą część rozszerzoną nosi nazwę blaszki.

Teraz, zwracając się do pręcików, obaczmy, że są także szczególnie ułożone; jest ich dziesięć, z tych dziewięć zrosniętych nitkami w jedną wiązkę rurkowatą, w której siedzi słupek, jakby w kryjówce, wystawiając z niej tylko szyjkę z tępym znamieniem, dziesiąty pręcik sterczy sobie osobno naprzeciwko żagielka.

Ale ważniejszą jeszcze cechą rodziny motylkowatych jest kształt owocu. Co, zapytacie może ze zdziwieniem, alboż akacje mają jakie owoce? Ba! dla was, młodzi czytelnicy, owocem jest tylko smaczna gruszka, wisienka soczysta, słodka poziomka, ale dla botanika to wszystko, co wy z upodobaniem zjadacie, nazywa się zwierzchnią powłoką właściwego owocu, to jest nasienia, z którego wyrastają nowe rośliny. Otóż takim owocem, nasiennikiem akacyi, jest podługowaty strączek. Tu przypomniał sobie niezawodnie strąki grochu i fasoli; bo też i groch i fasola należą do tej samej rodziny i jak wiecie mają także kwiaty motylkowate.

Znacie je dobrze, te długie strąki grochu i wiecie, że każdy składa się z dwóch łupin, na obie strony pękających, na których osadzone są nasiona. Cała rodzina od tych owoców tak odrębnych otrzymała także drugą nazwę, rodziny roślin strąkowych. Nasiona ich nie mają wcale białka, który stanowi pożywną część ziarn zbożowych, ale nie na tém nie tracą, bo mają za to grube liście, wypełnione równie pożywnym pokarmem, którym się żywi młoda, podrastająca roślinka, a którą i człowiek nie pogardza. Ta dobra fasola, ten groszek tak smaczny, posilny bób i soczewica, wszak to są wszystko liścienie; widzimy je po zasadzeniu wychodzące z ziemi w téjże samej postaci, którą mają w ziarnach. Trzeba nawet dodać, że nasiona strąkowych roślin należą do najposil-

niejszych pokarmów, gdyż zawierają w sobie znaczną ilość azotu. Pierwiastek ten stanowi główne części pożywnie mięsa, w roślinach zaś w ogóle dość skąpo się pojawia. Można też powiedzieć, że fasola, groch, i inne ziarna roślin strąkowych, własnościami pożywными zbliżają się do mięsa więcej od wszystkich roślinnych pokarmów. I li-

i różowa z Ameryki południowej, ziola z Syberyi. Trzeba jednak wiedzieć, że drzewa te niewłaściwie są pospolicie akacyami zwane, bo nazwa ta przez botaników nadawana jest innym drzewom, które się od nich znacznie różnią. To też botanik nasz Jakób Waga tę fałszywą akacyą białą nazywa grochodrzewem, a żółtą grochownikiem. Biała



Podróż na górę Świątyni.

Wszystko miłe

ście roślin motylkowatych, czyli strąkowych, odrębnie wyglądają, są po większej części pierzaste, tak nazywają liść, złożony z licznych listeczków osadzonych na wspólnym ogonku, najlepszym tego przykładem są liście akacy i grochu.

Krajowe nasze rośliny motylkowate są to niewielkie ziola lub krzewy, wynioślejsze drzewa z innych części świata pochodzą, akacya biała

akacya niezbyt dawno, sto kilkadziesiąt lat temu sprowadzona była z Ameryki przez doktora Robina i zasadzona po raz pierwszy we Francyi. Ztąd nawet otrzymała nazwę naukową: *Robinia pseudo-acacia*. Do dziś pokazuje w ogrodzie botanicznym w Paryżu jedno z drzew, zasadzonych własną ręką Robina.

Botanicy naliczyli przeszło cztery tysiące ga-

tunków roślin strąkowych. Jest to jedna z najliczniejszych rodzin. My tu wspomnimy tylko znaczniejsze gatunki, które napotkać możecie po łąkach, gajach, lub ogrodach.

W suchych lasach i zaroślach znajdziecie Janowice *Genista*, który się odznacza liściem wązkim, nie pierzastym, jest to mała, ciernista krzewina, o drobnych, żółtych kwiateczkach. Na polach i miedzach często napotkać można wilżyny, *Ononis*, małe krzewinki, o liściach drobnych, w części potrójnych, w części pojedynczych, kwiatach różowych, które dość ładnie wyglądają, ale cała roślina ma zapach bardzo nieprzyjemny. Janowce i wilżyny mają kwiaty motylkowate, ale pręciki ich są wszystkie w jedną wiązkę zrosnięte, czém się od innych roślin tej rodziny wyróżniają.

Znacie zapewne dobrze różne gatunki koniuczyny, które mają po trzy listeczki na wspólnym ogonku i kwiatki drobne, w okrągłą główkę zebrane. Różne rośliny pastewne, jak wyka, lucerna, sparceta, należą także do rodziny motylkowatych. Po ogrodach znów hodują często ozdobne krzewy z tej rodziny, jak szczodrzeniec groniasty, deszczem złotym przewany, truszczelina, krzew gałęzisty, pochodzący z Europy południowej, o kwiatach żółtych i strąkach bardzo wydętych, które pękają z łoskotem, gdy je w palcach ściśniemy.

W krajach cieplejszych piękne drzewa strąkowe występują bardzo obficie i w rozlicznych gatunkach. Strąki ich przybierają czasem rozmiary, ogromne i według wyrażenia pewnego podróżnego wyglądają jak kieszki porozwieszane na gałęziach. Niektóre z nich sączą różne wonne balsamy inne posiadają własności farbiarskie, jak brezylia i drzewo kampešzowe; oba te gatunki rosną w Ameryce zwrotnikowej. Tamaryndowiec jest drzewem bardzo ozdobnym, rosnącym wszędzie w gorących krajach. Strąki jego grube, wypełnione są miazgą powidłastą, która ma własności lekarskie. Strączyniec, czyli Kassia, w liściach swych zawiera pierwiastek zwany senesem; rośnie w Afryce północnej.

Osobną gromadkę w rodzinie strąkowych stanowią akacye właściwe i czulki, czyli mimozy. Drzewa te nie mają już kwiatów motylkowatych, ale zawsze się odznaczają takiemiż samemi strąkami i liściem pierzastem. Słyszeliście zapewne o osobliwszej drażliwości czulków, od której nazwa ich pochodzi. Listeczki ich, nadzwyczaj drobne i delikatne, za najlżejszém dotknięciem lub wstrząśnięciem kurczą się i zamykają. Czulki rosną najobficiej w Ameryce południowej.

Akacye prawdziwe występują tylko w Afryce i Australii. Są to drzewa cierniste, tworzą często gęste i rozległe lasy, bardzo trudne do przebycia.

Krajowcy afrykańscy czasem prawdziwie uroczyste pochody w nich odbywają. Zbierają się w liczne karawany, na przedzie jadą konno przewodnicy z dzidami w ręku i nacierają na cierniste gałęzie, jak na wroga, krzycząc przytém i nawołując się najdziwaczniejszym sposobem. Na wzmiankę zasługuje akacya arabska, która wydaje znaną powszechnie gumę.

Musimy jeszcze wspomnieć osobliwszą roślinę afrykańską, do rodziny strąkowych należącą, która i w Ameryce jest teraz hodowana.

Orzacha podziemna, *Arachis hypogaea*, niewielka zielna roślina, ma kwiaty żółte, z których niższe tylko wydają strąki pękate, do kartofelek podobne, kwiaty te pod koniec Kwietnia nachylają się ku ziemi, ukrywają w niej zupełnie nasienne, które tam dopiero pod ziemią dojrzewają, a tłuste i smaczne ziarna po upieczeniu są pożywnym pokarmem. Wytłaczają z nich także wyborny olej.

M. J. Z.

KTO POD KIM DOŁKI KOPIE, SAM W NIE WPADA.

przysłowie dramatyczne,

w II-*ch* aktach,

przez M. . . a.

(Dokończenie)

Akt II-gi.

SCENA I.

(Wszystko jak w pierwszym akcie, pani Janicka wychodzi po lewej; panny chowają książki do szuflad).

P. KROŃSKA.

Teraz! na stół rańsza sprawa!

Morska niech na sądy stawia!

(Panny skacząc i śmiejąc się otaczają Krońską i Morską).

P. KROŃSKA

Morska! wiesz co koleżeństwo?

To nie żarty! nie błazeństwo!

Cygan dla kolegi swego

Umie dobrym być kolegą,

Ty zaś, lepsza od cygana,

Cóż zrobiłaś dzisiaj zrana?

Wypaplałaś sekret klasy!

Chociaż dziś, jak w dawne czasy,

Choćby cię smażyło w smole,

Mileżyć masz o sprawach w szkole!

Ej, panienki! wszakże wicie,

Jak gdzieś w uniwersytecie

Na winnego w jednej chwili

Współuczniowie sąd złożyli,

I winnego odsadzili

Od dalszego koleżeństwa!

I tu rzecz nie o błazeństwa,
I my złożmy dla przykładu,
By nie zbrakło w szkołach ładu,
Sąd przysięgłych, jak dziś moda!

PANNY (*mówią kolejno*).

— Sąd przysięgłych? Brawo! Zgoda!
— Lecz któż mądrym sędzią będzie?
— Właśnie, że na tym urzędzie
Nie potrzeba mądrych wcale!
Každy sądzi doskonale,
Nawet dzieciak gdy być szczerze,
Sprawiedliwym przedsięwzie!
— To zawołać małej jakiej!
— Zgoda!

P. KROŃSKA (*otwiera drzwi do przyległej klasy*).

Pójdźcie no wstępniaki!
Wrońska, Jańska, i Borowska!

SCENA II.

(Dziewczynki wchodzą ona zamyka drzwi za nimi, panny sadzą dziewczynki na katedrze).

PANNY (*jak wyżej*).

— Tu trybuna jest sędziowska!
— Wy będziecie dziś sędziami!
— Sądźcie sprawę między nami!

(panna Krońska staje z lewej strony, panna Morska z prawej).

P. KROŃSKA

Pewno wiecie, o sędziowie.
Jeśli olej macie w głowie,
Co to znaczy koleżeństwo?
I że trzeba znieść męczeństwo,
Raczej być smażonym w smole,
Niż rzecz co się dzieje w szkole!

A tymczasem dzisiaj rano
Tajemnicę tu wydano,
Papłac to przed przełożoną,
Co wśród klasy ułożono!
Macie rozum, choć dziecienny,
Wszak kto paplał, ten jest winny?

(Dzieci milczą, spoglądając wzajem na siebie).

PANNY (*jak wyżej*).

Czy ten winny, czy niewinny?
— Czy naradzać się zechcecie?
— Tak przysięgli robia w świecie!
— Radźcie! Tańczmy my tymczasem,
By nie słyszeć za hałasem
Tajnej sędziów tych narady!
Nim rozsądzą nasze zwady.

(Dzieci naradzają się pociechu, panny tańczą naokoło nich, po chwili dzieci klaszczą w ręce, panny stoją przed nimi).

PANNY.

Już? Cóż? Mówcie! bo słuchamy!
Winny?

P. BOROWSKA (*kładzie rękę na sercu*).

Nie! bo wszystkie mamy,
Wszystkie tatki, i rodzice,
Każą wszystkie tajemnice
Mówić nam przed przełożoną!

PANNY (*po namyśle jak wyżej*).

— Nie źle? — dobrze osądzono!
— Przełożona głowa szkoły!
— Za cóż tego kłaść do smoly,
Kto z nią mówi o jej szkole?...

P. KROŃSKA (*z gniewem*).

A więc kogoż smażyć w smole!
Czy bez ognia jest dym kiedy?
Tak, bez winy niema biedy!
I tu musi być ktoś winny,
Reprymandy dwugodzinné;
Tu od rana wre jak w garnku!
Tartas! jakby na jarmarku!
Zaburzenie w całym domu!
Jak nie Morskiej, to więc komu
Zawdzięczamy burzę całą?
Kto wypaplał co się stało?
Kto wytrzyma z paplą dłużej?
Któż więc winien?

P. BOROWSKA.

Ten kto burzy!

(Chwila milczenia, panny spoglądają wzajem na siebie i nagle wybuchają śmiechem, wskazują palcami na pannę Krońską mocno zmieszaną).

PANNY (*mówią prędko jedna po drugiej*).

— A kto burzy? ha ha ha ha!
— Krońskiej oczy, jak u stracha!
— Ha ha! mali są sędziowie,
Ale olej mają w głowie!
— Kto namawiał nas najpierwszy,
Aby się nie uczyć wierszy?
— Kto sprowadził połajanie,
Za bezmyślne wyuczanie?
— Kto wprowadza modne rządy?
— Kto na drugich zwołał sądy?
Chociaż mówi o męczeństwie
I cygańskim koleżeństwie?
— Kto poburzył całą szkołę?

BOROWSKA (*stając na swojej ławce*).

Tego w smole! tego w smole!

P. KROŃSKA (*zawstydzona*).

Wiecie... sama nie wiem prawie,
Kto w tej krętej winien sprawie,
W której wrzemy jak w ukropie!

P. MORSKA.

Ten kto pod kim dolki kopie!

(Panny kłaniają się Krońskiej i odwracają od niej ze śmiechem; Morska nagle zwraca się znów do Krońskiej).

P. MORSKA.

Lecz, że w naszym koleżeństwie,
Choć nie mówim o męczeństwie,
Prędko z serca żal ulata,
Przeto ty, z wielkiego świata,
Co oń nie dbam ni troszeczkę...
Pójdźno teraz do poleczki...

(Panny tańczą).

Zasłona spada.

Podróż na górę Ś-go Gotarda.

Podróżnicy, zwiedzający górzystą Szwajcaryą, szczególnego doznają uczucia, gdy z dolin, gdzie zielenią się rozkoszne gaje i winnice, gdzie łąki kwitną krasą wiosenną, dotrą na wierzchołki wyniosłych szczytów. Tam przez cały rok panuje zima, zamieć śnieżna z wyżyn zamiast szumiących potoków, spuszcza się gwałtowne lawiny, a lodniki przesuwały się zwolna po spadzistościach. Rysunek nasz przedstawia wycieczkę na górę Ś-go Gotarda, gdzie zwykle podróżni udają się jedynie dla tej przyjemności, aby obaczyć zimę wśród lata; bo z góry tej, prawie zawsze zasutęj chmurami i zasypanej śniegiem, żaden malowniczy widok się nie odsłania. Dziś już góra Ś-go Gotarda przebita jest na wylot, urządzono w niej tunel taki, jaki od lat kilkunastu istnieje w górze Cenis. Niedawno właśnie tunel Ś-go Gotarda został otwarty.

Przygody Myśliwskie młodych osadników

W AFRYCE POŁUDNIOWEJ.

(Dalszy ciąg).

Póki nosorożec stał na straży i śledził najmniejszy ruch jego, niepodobna było myśleć o ucieczce. Śmierć go czekała niechybna, gdyby się odważył opuścić swoje stanowisko; musiał więc czekać cierpliwie, póki się oddali jego prześladowca, a na to się wcale nie zanosilo.

Pocieszał się myślą, że towarzysze, zaniepokojeni długą jego nieobecnością, zechcą go odszukać i natrafiwszy z łatwością na ślad końskich kopyt, nadjadą wkrótce z pomocą. Ale większe było prawdopodobieństwo, że do wieczora poczekają na niego w obozie, bo nieraz już zdarzało mu się w zapale myśliwskim oddalać się na cały dzień, a nikt się o to zbytecznie nie troszczył. Biedny Henryk drżał na myśl, że może być zmuszony do wieczora a może i do jutra znosić takie męczarnie głodu i pragnienia.

Tymczasem w nocy mógł deszcz wypaść i zatrzeć wszelkie ślady, a wówczas towarzysze nie potrafiliby go odszukać nawet i nazajutrz. Cóż się z nim stanie w takim razie? Na tę myśl krew ścianała się w jego żyłach, z gniewem spoglądał na niegodziwego zwierza, który go miał w swojej mocy.

Ale nosorożec nie dbał wcale o gniew swojej ofiary, przechadzał się ciągle u stóp skały, zatrzymując się kiedyniekiedy i wlepiając wzrok nienawści pełen w młodego myśliwca.

XXXI.

Nowa niespodzianka.

Czas upływał i położenie Henryka stawało się coraz przykrejsze, pragnienie dokuczało mu coraz więcej. Obejrzał uważnie skałę, na której się znajdował i przekonał się, że niepodobna było przedrzeć się przez jej wierzchołek. Widział wprawdzie ponad głową swoją inne krawędzie wystające, ułożone jakby piętrami jedne nad drugimi, ale przystęp do nich nie był wcale łatwy. Ów taras, na którym siedział, był dość szeroki z brzegu, ale zwężał się stopniowo i zniżał, a dalej nieco, jak się zdawało, musiała być komunikacja z jakimś podziemiem, bo wązka szczelina ukazywała się w głębi skały.

Nie na wiele zapewneby się przydało Henrykowi, gdyby się dostał do takiej jaskini, ale przynajmniej znalazłby w niej uchronię od palących promieni słońca. Przyszło mu także na myśl, że gdyby mu się udało ukryć zupełnie na czas jakiś przed wzrokiem nosorożca, możeby złośliwy zwierz o nim zapomniał. Nie tylko do ludzi zastosować można przysłowie: co z oczu, to z myśli. Nieraz słyszał od doświadczonych myśliwych, że takim sposobem można oszukać czujność lwa i innych drapieżnych zwierząt. Czemużby nosorożec nie miał także się dać złudzić? W każdym razie warto było spróbować.

Młodzieniec niezwłocznie puścił się w drogę, nie spuszczaając z oczu nosorożca, który zaraz spostrzegł, że wiezień jakąś zdradę knuje i podstąpił bliżej pod skałę, podnosząc łeb i szyję wyciągając. Henryk postępował z największą ostrożnością, obawiał się, ażeby nie spaść na dół, trudno mu było utrzymać się na wązkich krawędziach, które mi się przeciskać musiał, a groźny nieprzyjaciel czatował wytrwale i jedna chwila zapomnienia mogła go zgubić. Dostał się jednak szczęśliwie do szczeliny, która w rzeczy samej prowadziła do głębokiego podziemia. Henryk pochylił się, zajął do środka i przekonawszy się, że spadek nie był zanedo gwałtowny, już miał się zapuścić w głąb

jaskini i zaczął się przeciskać przez wąską szczelinę, gdy nagle zadrżał od stóp do głowy i cofnął się gwałtownie.

Z podziemia ozwał się ryk przeraźliwy; a nasz Henryk, usłyszawszy ten odgłos, w pierwszej chwili strasznego przerażenia umykał tak szybko, że o mało nie zeskoczył na ziemię, zapominając zupełnie o nosorożcu. Ryk ten nie miał w sobie nic tajemniczego, łatwo go było odróżnić od wszelkich innych głosów, myśliwy nasz nie wątpił ani na chwilę, że natrafił na jaskinię lwa!

Ryki odzywały się raz po raz, coraz głośniejsze, coraz bliższe, lew widocznie usłyszał szelest z głębi swój kryjówki i śpieszył ukarać śmiałka, który przerwał jego spoczynek; już słyhać było, jak potężną swą łapą rozsypywał kamyki, po których stapał.

Henryk odskoczył od szczeliny, sam nie wiedział jakim sposobem w jednej chwili prawie znalazł się znowu na miejscu, gdzie przedtém siedział. Nosorożec stał zawsze pod samą skałą, ale nie zdawał się zwracać uwagi na młodzieńca, zapewne usłyszał także ryk lwa i przeciwko niemu gniew swój zwrócił, gdyż zdawał się pilnie nasłuchiwać.

Po chwili grzywa lwa ukazała się w szczelinie skały, zwierz jednym susem zeskoczył na ziemię i stanął naprzeciw nosorożca. Przez kilka sekund obaj patrzali sobie oko w oko, w końcu nosorożec zaczął się cofać w tył, widok potężnego króla pustyni musiał go trochę zaniepokoić. Nie miał zapewne ochoty wyzywać go do walki. Ale lew czuł się obrażonym, przerwano mu sen, a ta zbrodnia, o którą posądzał nosorożca, nie dostrzegłszy prawdziwego winowajcy, nie mogła ująć bezkarnie. Oczywiście pałały gniewem, silnym ogonem bił się po bokach, potem skoczył zręcznie jak kot i spadł na grzbiet nosorożca.

Zawiódł się jednakże bardzo, jeśli miał nadzieję rozedrzeć pazurami przeciwnika. Pomimo siły swój niepospolitój, pazury te nie były w stanie nadwężyć grubój skóry nosorożca. Gdyby lew miał być do czynienia z antylopą lub girafą, pokonałby je z największą łatwością, ale skóra nosorożca nie darmo nadała mu charakterystyczną jego nazwę; wiadomo, że zwierz ten zaliczany jest do rzędu *gruboskórnych*. To też lew lekko tylko zadrasnął swego przeciwnika i nawet nie zdołał długo utrzymać się w równowadze na jego grzbiecie.

Nosorożec wcale nie zadowolony z tego nieproszonego jeźdźcy, wstrząsnął nim gwałtownie, a lew zleciał jak nie pyszny na ziemię. Zerwał się wprawdzie natychmiast na nogi i zabierał się wskoczyć powtórnie na kark nosorożca, gdy ten

zwrócił się do niego, nastawiając straszne swoje rogi. Skóra lwa nie jest wcale tak mocna i gruba, ostrza tych potężnych rogów, byłyby ją z pewnością przedziurawiły.

Lew musiał się nad tém zastanowić, bo nie czekając napaści nieprzyjaciela, wziął ogon pod siebie i zemknął sromotnie z pola bitwy, a nosorożec, puścił się w pogoń za nim jak pies goniący za kotem.

Z wyniosłego miejsca, na którém siedział, nasz myśliwy widział doskonale cały przebieg tej walki, nigdy jednakże nie dowiedział się, przy którym z zapaśników pozostało zwycięztwo, czy nosorożec dogonił nędznego tchórza, czy lew odzyskał przewagę; ciekawe to było pytanie, ale nasz Henryk chętnie się rzekł ostatniego aktu widowiska, hyle się nie spotkać więcej ze strasznymi aktorami. Jak tylko znikli mu z przed oczu, zeskoczył ze swojej platformy i zaczął biedz co siły w stronę przeciwną.

Przystanął wkrótce, namysławiając się, w którą stronę mu iść wypadało: czy zawrócić w bok i starać się konia odszukać czy biedz pieszo do obozu tą samą drogą, którą gonił antylopy. Po chwili zastanowienia postanowił powracać jaknajśpieszniej i natrafił z łatwością na ślady antylop. Co chwila jednak oglądał się mimowoli, czy nie goni za nim lew lub nosorożec. Ale na szczęście nie ujrzał już nigdzie ani strasznych rogów, ani groźnej grzywy, a natomiast z wielką radością spostrzegł zdaleka swojego wierzchowca, pasącego się najspokojniej na łące.

Pocziwe zwierzę samo przybiegło na głos swojego pana i Henryk usadowiwszy się bezpiecznie na siodle podążył żwawo do obozu, trzymając się ciągle śladów antylop, ażeby nie zbłądzić. Wkrótce napotkał po drodze i dwa swoje pieski, które mu nie dotrzymały placu przy polowaniu i razem z niemi ukazał się w obozie, gdzie nikt jeszcze nie był o niego w obawie.

Hans i Arend nie szczędzili mu nawet żartów, gdy ujrzeli, że z próżnemi rękami powracał, ale William ani jedném słówkiem go nie dotknął; pamiętał on dobrze wspaniałomyślność Henryka, gdy sam doznał niepowodzenia, goniąc antylopy błękitne i chciał mu się za to wywdzieńczyć. Odtąd już nigdy najłżejsza chmurka zazdrości lub jakiegokolwiek niezgody nie zaćmiła serdecznój przyjaźni Williama z Henrykiem.

XXXII.

Ogromne stado antylop.

Nazajutrz myśliwi nasi ujrzeli przed sobą niezwykłe i niezmiernie ciekawe widowisko. Wyobraźcie sobie nieprzeliczone mnóstwo antylop

pstrokatych, przebiegające chmarami przez błonia. Cała równina rumieniła się zdaleka, jakby fale jakieś czerwone przepływały po niej.

Całe to ogromne stado pędziło śpiesznie naprzeciw wiatru, tak samo, jak wczorajsze, za którym darmo uganiali się nasi myśliwi; musiało uchodzić przed jakimś groźnym niebezpieczeństwem. Ścieśnione szeregi antylop zajmowały przestrzeń rozległą, a żywa ta fala płynęła przeszło godzinę; niekiedy wyglądała jak wielka, spokojna rzeka, to znów jak potok wzburzony. Każda antylopa miała szyję wyciągniętą, głowę pochyloną i nozdrza przy samej ziemi, jak ogar tropiący zwierzynę.

Gdzieniedzie pomiędzy tą masą zbitą ukazywał się przedział niewielki, a na czele nowych zastępów biegła gromada samców. Wyglądało to zupełnie nakszałt ogromnej armii, podzielonej na pułki oddzielne, co stąd pochodziło, że cała owa chmara antylop składała się z licznych stad, które wspólne jakieś niebezpieczeństwo połączyło. Zwykle się tak dzieje, że gdy jedno stado zagrożone ucieka, wszystkie inne, napotkane po drodze, puszczają się za nim w tę samą stronę, gdyż wszystkie mają zwyczaj pędzić zawsze naprzeciw wiatru. Tym sposobem stado ciągle wzrasta, jak rzeka przybierająca coraz nowe dopływy w swym biegu.

Osobliwsze to widowisko przypominało młodemu myśliwym opisy podobnych wędrówek żubrów na wielkich łąkach Ameryki północnej, lub owych gołębi wędrownych, które przelatując niezliczonymi chmarami zasłaniają słońce, i często przyniatają ciężarem swoim drzewa, tam gdzie się zatrzymują na nocleg. Nieraz też widywali już dawniej takie niesłychane stada antylop skaczących, które jak mrówie pokrywają ogromne płaszczyny Afryki południowej.

Młodzieńcy nasi starali się wynagrodzić sobie niepowodzenie dnia poprzedniego. Wiedzieli już z doświadczenia, że pogoń na nic się przydać nie może z antylopami pstrokatymi, probowali więc natomiast zrównać się ze stadem i pędzili na koniach w tym samym kierunku, zbliżając się o ile możliwości i posyłając raz po raz kulki w zbitą masę. Ale chociaż nie mało nabojów zużyli nie wiele wskórali, zaledwie pół tuzina antylop padło od gęstych strzałów. Na szczęście pokazało się, że było pomiędzy nimi tyleż samców, co i samic, a ponieważ naszym myśliwym nie tyle szło o mięso, co o skórę i rogi, więc dość byli tą zdobyczą zadowoleni.

Tym razem polowanie nie trwało długo, konie jednakże znużone były niezmiernie, więc gromadka myśliwych powróciła do obozu, wioząc piękne

skóry, rogi i parę kawałków mięsa, byle tylko mieć świeże pieczone na wieczór. Nie potrzebowali już teraz myśleć o zapasach, gdyż w tych stronach nie brakło zwierzyny.

Zdejmując skórę z antylop młodzieńcy zauważyli, że wydawała woń szczególną, aromatyczną i bardzo przyjemną. Jest to zapewne skutek jakichś ziół pachnących, upodobanych antyloptom pstrokatym.

Przez resztę dnia młodzi myśliwi zajęci byli oczyszczaniem pięknych skór czerwonych i osuszaniem ich na słońcu. Gdy dostatecznie obeschły, upakowano je starannie na dnie wozów. Robota ta, jak zwykle dopełniona była przez Henryka i Williama. Oporządzenie głów, jako trudniejsze i wymagające oprócz zręczności, niemalże także umiejętności i wprawy, należało do Hansa, który się na tem znał doskonale; Arend mu dopomagał. Hans miał do tego potrzebne przybory, jak mydło arsenikowe i inne ingredyencje, używane przez przyrodników przy wypychaniu ptaków i szczątków wszelkiego rodzaju.

Przed wieczorem cztery przepyszne głowy antylop, ustawione na wywyższeniu, wzbudzały podziw i uwielbienie powszechne, dwaj malcy nacieszyć się nimi nie mogli. Łatwo było rozróżnić dwie głowy samców od dwóch głów samic; różnicę stanowią rogi, znacznie krótsze i cieńsze u samicy, która jest nieco mniejsza od samca i skórę ma mniej ozdobnie zabarwioną. Toż samo stosuje się i do antylop białogłówek, które myśliwi nasi napotkali dnia następnego i upolowali bardzo szczęśliwie, dołączyli więc skórę ich i rogi do swoich bogatych zbiorów.

Teraz użyli z bardzo dobrym skutkiem sposobu, obmyślnego przez Williama, a który im się nie powiódł wcale dnia poprzedniego. Zasiadli na czatach i udało im się zwaćić antylopy w zasadzkę. Hans, Arend, Henryk i William usadowili się z nabitą bronią za budowlami termitów a dwaj najmłodsi napędzali zwierzynę w tę stronę. Każdy ze strzelców położył na miejscu antylopę, a młody przyrodnik miał najświetniejsze powodzenie, gdyż zastrzelił aż dwie, raz po raz, samca i samicę.

Nie sądźcie jednak, ażeby antylopy białogłówki mniej były przebiegłe od pstrokatych, dla tego, że się dały podejść owego pamiętnego dnia. Myśliwym naszym sprzyjała pogoda; najłżejszy wietrzyk nie poruszał powietrza, a biedne zwierzęta które zwykle biegną wprost naprzeciw wiatru, nie mając wytkniętego kierunku, dały się łatwiej w pole wyprowadzić i spłoszone przez Janka i Klaasa, pobiegły w stronę strzelców. Opuściła je zwykła ostrożność, gdyż białogłówki, tak sa-

mo jak i pstrokate, do których z obyczajów zupełnie są podobne, mają węż i słuch wyborny, a wzrok niezmiernie bystry.

Polowanie to prawdziwym było tryumfem. Trzeba wiedzieć, że na płaszczyznach Weldtu trudno jest niezmiernie trafić do celu z dalekiej mety. Tam ustawicznie prawie pojawiają się w powietrzu szczególnie złudzenia optyczne, mamidla, które w błąd wprowadzają patrzących. Każdy przedmiot w pewnej odległości do niepoznania się zmienia. Ptak sekretarz wygląda ogromny, jak człowiek, strąs przybiera rozmiary wieży kościelnej. Barwy także mieniają się dziwnym sposobem, do tego stopnia, że raz jednego podróżni wzięli zdaleka dwa lwy za białe budy, osłaniające ich wozy i skierowali się prosto do legowiska tych drapieżnych zwierząt, w przekonaniu, iż powracają do obozu. Pomyłka, jak widzicie bardzo nieprzyjemna.

Załatwiwszy się z przyrządzeniem pięknych skór i głów rogatych, myśliwi nasi zwinęli obóz i puscili się w dalszą drogę.

XXXIII.

Góra odosobniona.

Wspomnieliśmy już wyżej, że w krainie, którą przebywali obecnie nasi podróżnicy, ukazywały się przed oczyma ich góry niejednakowej wielkości i kształtów najrozmaitszych. Jedne wyglądały, jak kopuły zaokrąglone u góry, w innych wierzchołki były ścięte płasko, lub stożkowato zaostrome, niektóre skały miały szczyty wydłużone, jak dachy zwyczajnych domów, inne znów wznosiły ponad chmury śpiczaste cypły, nakształt gotyckich wież; gdzieniegdzie znów pasma wyżyn tworzyły szereg nieprzerwany i podobne były do wałów obronnej twierdzy, a podobieństwo było tym większe, że w pewnych odstępach strzelały wysoko odosobnione wierzchołki jakby strzelnice zamkowe.

Te malownicze kształty gór zajmowały niezmiernie naszych młodzieńców. Czasem zagrażał im drogę mur olbrzymi, ciągnący się na przestrzeni mil kilku bez żadnej szczyrby i wymiając go musieli, nakładając znacznie drogi; to znów zapuszczali się w ciasne wąwozy, gdzie wozy ich z trudnością przejechać mogły.

Dnia pewnego młodzi podróżnicy przebywali rozległą równinę, jedną z najrozleglejszych, jakie napotkali dotąd, gdy uwagę ich zwróciła góra bardzo osobliwa. Nie odznaczała się nadzwyczajną wielkością, tylko odrębną postacią. Stoki jej ogolone i nagie podnosiły się jednym rzutem ponad płaszczyznę, a szara ich barwa dziko odbijała od zielonej łąki, która ją otaczała dookoła. Kształ-

ty tej góry były tak regularnie zarysowane, że zdaleka wyglądała jak piramida, ręką ludzką wyciosana. Przypatrując się uważniej, można było rozróżnić ogromną podstawę w kształcie stożka ściętego, na której wznosiła się skała wysmukła, ostrą iglicą zakończona.

Ta skała stercząca jak wieżycyca na potężnej stożkowatej podstawie, szczególnie zaciekała młodych podróżnych, wyglądała, według wyrażenia Janka, jakby lejek odwrócony ostrym końcem w górę. Nie mało już gór spotykali po drodze, żadna jednak nie wydała im się taka dziwna; postacią i barwą wybitnie bardzo odbijała wśród otaczającego krajobrazu.

Czemużbyśmy nie poszli obejrzeć ją zblizka? — rzekł Arend — nie zboczylibyśmy z drogi zbyt znacznie; wozy mogą sobie jechać osobno, woły tak powoli się wloką, że je z łatwością dopędzimy. Cóż wy na to? wszak dobry pomysł, nieprawdaż?

— Dobrze mówisz — odrzekł pierwszy Hans, któremu zaraz przyszło ma myśl, że na takiej osobliwej górze mogą się znaleźć jakieś osobliwe okazy zoologiczne lub botaniczne.

— A więc zgoda, ruszajmy! — zawołano jednogłośnie, gdyż zdanie przyrodnika było powszechnie szanowane. Jeźdźcy zawrócili konie w stronę owej góry, a wozy pojechały dalej prostą drogą.

W chwili gdy górę spostrzegli, zdawało się naszym myśliwym, że nie jest zbyt oddalona; wszyscy, oprócz jednego Hansa, obliczyli odległość na jakie półtora kilometra co najwyżej. Przyrodnik wprawdzie odmiennego był zdania, dowodził, że mieli do przebycia przypajmniej siedm lub ośm kilometrów, ale nikt w to wierzyć nie chciał, towarzysze śmieli się z niego, nazywali to zdanie dziwnym przywidzeniem. Czy to raz w świecie tak bywa? śmiano się także i z Kopernika i z Kolumba i z Galileusza, bo prawda bywa często niezbyt prawdopodobna.

Przy tej sposobności pozwolicie sobie dać dobrą radę, czytelnicy. Ile razy w życiu usłyszycie zdanie, które wam się wyda nieprawdopodobnym, nie potępiajcie go nigdy stanowczo, na tej zasadzie jedynie, że się nie zgadza z waszemi wyobrażeniami. Większa połowa naszych wiadomości jest bardzo niedokładna i codziennym ulega zmianom z postępem nauki. Nawet przepisy, których się ludzie trzymają od dawna w postępowaniu swoim, często bywają fałszywe. Nieraz naprzykład powtarzano, że w przysłowiach zawiera się mądrość narodów; ale możnaby wskazać niejedno przysłowie, które się wcale nie zgadza z prawdą i sumieniem człowieka.

Żli ludzie, którzy usiłują drugich w błąd wprowadzić dla swoich osobistych widoków, umie-

ją korzystać z tego. Zawsze powinniście to mieć w pamięci, młodzi czytelnicy. Możnaby tę myśl określić następującemi słowami: *Każda prawda bywa zazwyczaj przyćmiona sofizmatem*, *), *prawdopodobniejszym daleko od samej prawdy*.

Nie możemy wam tu przytaczać licznych przykładów tego twierdzenia, bo to zabrałoby nam za wiele czasu; ale z wiekiem sami się o tém przekonacie, starajcie się tylko te słowa zachować dobrze w pamięci i powtarzajcie je sobie przy każdej sposobności.

Powróćmy teraz do naszych młodych myślicieli; oni także z tegoż samego powodu różnili się w zdaniach z przyrodnikiem. Żaden z tych pięciu chłopaków nie umiał się głębiej zastanawiać, wszyscy się spuszczały na świadectwo swych zmysłów, nie rozumowali nad tém, co widzieli przed sobą, gdyby który z nich, przez szczególny zbieg okoliczności, nie widział był nigdy kijka zanurzonego w wodę, byłby utrzymywał niezawodnie, że ten kijek jest przełamany i dla tego tak dziwnie w wodzie wygląda. Byłby się nawet wyśmiewał z każdego, ktoby mu w tém zaprzeczał, bo wołałby wierzyć własnym swoim oczom. I teraz też wszyscy pięciu wyśmiewali się z biednego przyrodnika, który sobie roił, że góra była oddalona o siedm do ośmiu kilometrów, kiedy oni widzieli jak na dłoni całą tę przestrzeń, wynoszącą co najwyżej półtora kilometra.

Góra w rzeczy samej *na oko* wydawała się bardzo blisko, a młodzieńcy, którzy nieraz już podróżowali i mierzyli w ten sposób odległość przedmiotów, nie wątpili, że i teraz ich wzrok nie omyli. Nie pomyśleli jednak o tém, że obecnie znajdowali się na płaskowzgórku, wyniesionym na tysiąc metrów przeszło nad poziomem morza. Hans, który wiele czytał i posiadał daleko więcej od nich wiadomości naukowych, wiedział, iż na wyżynach wzrok ulegając złudzeniu, nie jest w stanie dobrze ocenić odległości. Młody przyrodnik usiłował to wytłómaczyć towarzyszom, ale go nikt słuchać nie chciał, sztydono z niego tylko i żartowano.

Pomimo całej swój łagodności i słodyczy, nasz Hans zniecierpliwił się w końcu, a zamiast przekonywać upartych szyderców, podał myśl ażeby spór był rozstrzygnięty wymierzeniem odległości, którą przebyć mieli. Wniosek ten przyjęto jednogłośnie. Podróżnicy nasi nie mieli przy sobie żadnego mierniczego przyrządu, któryby mógł do

tego posłużyć, a jednak zaufali całkowicie przyrodnikowi i natychmiast zawracając swoje wierzchołce, powrócili do miejsca, w którem się rozłączyli z wozami.

(D. c. n.).

Gwiazdka botaniczna.

R

Wynaleść cztery nazwy roślin siedmiogłoskowe z literą *r* w pośrodku. 1) Drzewo ozdobne z krajów południowych. 2) Ziele, wydające woń nieprzyjemną. 3) Kwiatek czerwony, do ostu podobny. 4) Piękny kwiat ogrodowy.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 23-go.

S z a r a d y:

Bar — ba — ra.

(Bara, potok w Węgrzech, któremu lud miejscowy przypisuje cudowne własności, wspomniane w szaradzie).

Łamigłówki głoskowe:

ŁoMża
MogIlno
ChęCiny
PłoSKirów
OlIta
WiłEbsk
KoWno
MohIlew
BraCław
MoZyr.

*) Sofizmatem nazywają wniosek, wyprowadzony z fałszywego rozumowania, a tém samem także fałszywy.